

Wojciech Chmielewski

Obcy diabeł

31 opowiadań

Wybór i postowie
Jakub Beczek

W mieście

1

Jest ciepły wiosenny dzień. Po wyjściu z pociągu podążającego do pracy młódzieńca owiewa wietrzyk, niosący zapach rozmięklej ziemi. Idący nie spieszy się. Ma jeszcze czas. Wychodzi z budynku dworca, w którym zawsze pachnie smołowanymi podkładami kolejowymi. Lekkim ruchem przewiesza torbę przez ramię, kopie leżący na krawężniku kamyk. Gdyby palił, pewnie teraz zaciągnąłby się papierosowym dymem. Zamiast tego wdycha zapach ulicy, rozrzedzonych spalin, powietrza unoszącego się znad kanalizacyjnych krutek, farby drukarskiej ze stoiska z gazetami, obok którego właśnie przechodzi. Ten sam wietrzyk niesie wreszcie woń przegniłych liści, zalegających jeszcze gdzieś pod wysokimi drzewami po obu stronach ulicy.

Słońce nieśmiało rzuca blask na odrapane fasady stojących jedna przy drugiej kamienic. W ich bramach panuje zielonkawy pleśniowy półmrok, wieje stamtąd chłodnym cugiem. Młodzienc nie pnie się teraz w górę, przechodzi obok piekarni i wypożyczalni filmów, mija okrągły słup z ogłoszeniami, na którym spostrzega plakat przedstawiający małego kominiarczyka gonionego przez piratów. Na rogu przystaje. Ulica, przez którą chce teraz przejść, jest znacznie szersza. Nie ma tu drzew, za to więcej samochodów, a od czasu do czasu przejeżdża błękitny tramwaj. Jest też pełno ludzi, zdążających, tak jak młodzienc, do swoich codziennych zajęć. To zwyczajni ludzie, niewyróżniający się w tłumie sunącym po obu stronach ulicy. Ale słoneczne światło

sprawia, że idący patrzy na poruszające się ciała w zupełnie nowy sposób, z radosnym błyskiem, podnieceniem, euforią nawet.

Instynktownie prostuje plecy, słyszy ciche trzaski w łopatkach nieco przygiętych dotąd ku ziemi, mięśnie nóg i brzucha lekko się napinają. Po przejściu ulicy młodzieniec skręca w prawo. Ma jeszcze do przebycia niewielki odcinek drogi. Idzie dużo pewniej niż wtedy, gdy wychodził z drewnianego dworca na ulicę z drzewami po obu jej stronach. Spogląda w górę, widzi szare balkony ze skrzynkami na kwiaty i poupychany tam rupieciami, a wyżej błękitne niebo ze snującą się po nim słoneczną mgiełką. To obłoki postrzępione przez wiosenny wiatr. Robi kilka bardzo głębokich wdechów, jakby wraz z ulicznym kurzem chciał wchłonąć powiewy wiatru, słońce i przechodzących obok ludzi.

Dziewczyna jest dzisiaj w białej bluzce z dekoltem, czarnej spódnicy z rozcięciem z tyłu, białych rajstopach i czarnych pantoflach ze ściętymi noskami. Na jasnych, kręconych włosach pełga poranne światło. Stary ekspres syczy jeszcze, a ona podaje młodzieńcowi filiżankę wypełnioną kawą. On zna dziewczynę, wstępuje czasami do cukierni na rogu gwarnej ulicy. Wchodzi tu tylko przed pracą. Pije kawę. Patrzy na błyski słoneczne na szklanej szafie z poukładanymi wewnątrz ciastkami, na dziewczynę i jej wijące się jasne włosy, na dłonie obejmujące szklane naczynia, gładzące blaty stolików, muskające zielone zasłony w oknach. Dziewczyna jest tu zawsze i on czuje za to wdzięczność, chociaż nie zamienił z nią dotąd ani słowa i nawet nie wie, jak ma na imię.

Dziękuje w milczeniu, stojąc przy wysokim wpuszczonym w podłogę stoliku i pijąc kawę. Przez witrynę cukierni spogląda na ruch uliczny i na poranny blask coraz intensywniej zalewający to wnętrze. Uważnie przygląda się filiżance z grubego białego szkła, białemu spodkowi, czarnemu blatowi stolika, swojej dłoni płasko na nim leżącej. Trwa tak nieruchomo i przestaje kontrolować upływ czasu dzielącego tę chwilę od rozpoczęcia pracy. Dziwnie dobrze mu w tej cukierni. Wraz z pchnięciem szklanych drzwi odgłosy ulicznego gwaru mieszają się z cichym dźwiękiem łyżeczki, którą miesza kawę w swej filiżance. Wchodzą nowi klienci, kupują ciastka, napoje, upychają zakupy do

siatek, spieszą się, bo przecież jest poranek, pełen miejskiego gwaru i niecierpliwości. On wciąż stoi przy wysokim stoliku i nie potrafi sformułować w sobie pytania, dlaczego właściwie w tym dniu, w wiosennym zapachu wiatru i świetle, tak pełno w nim cichej radości.

2

Na głównej ulicy miasta panuje zgiełk. Oślepiające światło słońca odbija się od białych chodników, wpada do tramwajów i niespokojnie przysiada na samochodowych maskach. Pełno go na pstrokatych ubraniach przechodniów, kłujących wzrok markizach nad sklepami i parasolach ocieniających kawiarniane ogródki. Siedzą w nich nieliczni jeszcze o tej porze goście, nieobecnyimi spojrzzeniami ogarniają jazgotliwy pejzaż. Okna w budynkach są szczelnie pozamykane, zasłonięte żaluzjami o jadownicie o tej porze dnia srebrnym odbłasku. Jednak wizg ruszających i hamujących tramwajów i tak jest doskonale słyszalny w mieszkaniach, których okna wychodzą na ulicę.

Dziewczyna stoi w przeszklonej witrynie księgarni. Przechodzący ulicą widzą przez szybę postać pochylającą się i ustawiającą książki na wystawie. To przecież całkiem naturalne, że pracownica księgarni poprawia kompozycję złożoną z wydawniczych nowości, wygładza banderole zdobiące wydania, bestsellery kupowane przez tysiące osób, ustawia przewrócone czy tylko przesunięte książki. Ugina przy tym lekko nogi, a wtedy brutalne światło ulicy osiada na jej kolanach. Pochylona pracuje w całkowitym milczeniu, lyska biała skóra dekoltu, ciemnoczerwona bluzka ściśle opina piersi i talię. Jakaś złudna pewność rozpościera się wokół pochylonej postaci i mówi przechodzącym, że będzie tak stała bardzo długo.

Przynajmniej tak myśli mężczyzna uważnie patrzący w tej chwili na dziewczynę. Widzi ją, pożera wzrokiem, a jednocześnie jakby prześlizguje mimo, stara się nie dopuścić do świadomości obrazu zrodzonego z czystego przypadku. Dlaczego tak czyni?

W zaparkowanym samochodzie obserwujący dziewczynę otwiera schowek i wyjmuje plastikowe pudełko z pastylkami. Wysypuje na dłoń kilka bładniebieskich kapsulek, wybiera dwie i połyka. Nie ma czym popić, dlatego przez dłuższą chwilę przelyka ślinę. Chętnie wyskoczyłby do spożywczego i kupił butelkę zimnej wody, ale nie robi najmniejszego ruchu. Tkwi za szybą samochodu i patrzy. Poci się.

Włosy ciemne i równo przycięte pod uszami opadają dziewczynie na twarz, gdy przechyla się, chcąc poprawić książkę, tę stojącą nieco dalej, już poza zasięgiem jej rąk. Teraz mężczyzna widzi profil, wycięty z kremowego papieru obrys twarzy, odległy od wszystkiego, co dzieje się przed taflą wystawy. Tak inny od atmosfery panującej w samochodzie bez klimatyzacji. Okna są szczelnie zamknięte, by nie wpuścić hałasu i kurzu, wargi zaciśnięte, czoło zmarszczone. Spoczone dłonie leżą na kierownicy.

Dziewczyna kończy pracę, odwraca się i – kiedy przez ułamek zastanawia się, jak zejść w głąb sklepu – siedzący w samochodzie widzi całą sylwetkę. Jest szczupła, ciemna spódnica okrywa nogi tylko do zgięć pod kolanami, to tu pojawia się świetlny refleks, malarski blik jest też we włosach, niespokojnie drży i natychmiast znika. Nie ma już postaci. Teraz jest tylko obraz ukryty pod powiekami człowieka z samochodu zaparkowanego przed księgarnią. Dlatego mężczyzna zamyka oczy, przywołuje sylwetkę dziewczyny, odtwarza gesty, stara się przywrócić nastrój momentu, który wydarzył się przecież kilkadziesiąt sekund temu. Pracujący bez wytchnienia umysł rodzi gwałtowne pragnienie. Mężczyzna chce przygarnąć dziewczynę i zwalić się z nią w świeżo skoszoną trawę. Na łące. Dobrze pamięta jej zapach, przed rokiem spędzał urlop nad jeziorem. Szedł wtedy nocą, wracał znad wody, pies biegł kilka metrów przed nim, słyszał jego sapanie. A kiedy skończyła się ścieżka pomiędzy sosnami, zapach łąki wywołał w nim tak wielki smutek, że nawet światło księżycy rozlane hojnie na ukośnie położonej płaszczynie wydało mu się nie na miejscu.

Trawa leżała w niewielkich kopcach, przysiadł na brzegu jednego z nich, zapalił papierosa. Pies niepokoił się, może węszył za żerującymi

o tej porze nocy gryzoniami. Światła domów i odbłask ognisk z kempingu jaśniały w oddali. – Czy to jeszcze jest noc? – myślał wtedy, bo żal, który nakazał mu odpoczywać na stercie pachnącej trawy, sprawił, że również czas zaczął płynąć obojętnie, mimo. I jeszcze tamta twarz, wspomnienie, błąda, okolona ciemnymi włosami, uśmiech, od którego widoku dzień stawał się doniosły, spełniony. Tamta kobieta siadała przy stoliku, mimowolnie dotykała filiżanki, poprawiała włosy, zakładała nogę na nogę, potrząsała głową i mrużyła oczy. Kiedyś było to takie ważne, najważniejsze, ten niemy taniec wykonywany przez pożądaną ciało trwające w przestrzeni, która nie była przestrzenią ludzką i zakreśliła ją chyba dłoń jakiegoś demiurga.

Rozpacz. Zimny nos psa na policzku i reszta powrotnej drogi księżycową łąką, piaszczystą drogą. Jeszcze jeden papieros na werandzie domku, łyk zimnej herbaty i już wtulił się w poduszkę obok śpiącej spokojnie żony. Zasnął natychmiast, spał długo, rano bolała go głowa. To wszystko, wszystko to powróciło we wnętrzu samochodu, w którym brakowało powietrza, a on bał się otworzyć okno, bał się hałasu i kurzu.

Wybrał lepkość. Ogarnia go teraz wraz z działaniem lekarstwa, jest na dłoniach spoczywających na kierownicy, pod pachami, na plecach i w pachwinach. Nie czuje nawet, jak strużka śliny spływa mu z kącika ust. Spoczywając na zagłówku, spod przymkniętych powiek dostrzega idącą ku niemu postać. Żona.

Wraz z otwarciem drzwi do samochodu wdziera się powiew znad chodnika. Kobieta wstawia siatki z zakupami na tylne siedzenie, dopiero potem, z oddali, słyszy jej głos.

– Trochę mi się zeszło, wstąpiłam jeszcze po drodze do banku. Nie gniewasz się? Henryku, spałeś?

Mężczyzna podnosi głowę, patrzy na nią nieprzytomnym szklistym wzrokiem i odruchowo przekręca kluczyk w stacyjce.

3

Koniec pracy na dziś, jeszcze żegna się z koleżanką na schodach gmachu, gdzie codziennie przez osiem godzin przyjmuje klientów. Trochę bołą ją plecy od ciągłego siedzenia na biurowym fotelu. Ola dyskretnie rozciąga mięśnie, czuje, jak żakiet lekko krępuje jej ruchy. Energicznie zbiega na dół, pantofle rytmicznie stukają o wyszlizgane stopnie schodów.

Przed budynkiem szczelnie otula ją ciepłe przedwieczorne powietrze. W pomieszczeniach, gdzie pracuje Ola, klimatyzacja sprawia, że jest zimniej. O tej porze roku dziewczynie sprawia przyjemność pieszczota nagrzanego ulicznego powiewu unoszącego się znad trotuaru. Idzie ulicą, przy której pracuje, następnie skręca w stronę przystanku tramwajów. Patrzy przed siebie, głowę trzyma prosto, a czarne, wpadające w granat włosy swobodnie muskają jej policzki. Torebka majta się przewieszona przez ramię. Ola, mimo butów na wysokim obcasie, stawia pewne kroki, już minęła handlowy pasaż i jest na przejściu dla pieszych.

Tramwaju nie ma. Czeka, a jej mały lekko piegowaty nos marszczy się z niecierpliwością. Kiedy czuje pierwsze zdrętwienie stóp, postanawia nie wracać jak co dzień do domu tramwajem. Cztery przystanki, ale można przejść skrótem przez kręte w tej części miasta uliczki. To najstarsza jego część, o tej porze dnia pełna gwaru, wypełniona dziwną atmosferą uroczystości, która onieśmiała Olę, kiedy zaczynała tu pracować. Idąc wyłożonym kolorową kostką chodnikiem, dziewczyna szybko przebiega wzrokiem wystawy sklepów, szyldy wiszące jeden przy drugim na fasadach kamieniczek, różowe, czerwone i fioletowe kwiaty w doniczkach stojących na parapetach i wiszących za oknami w skrzynkach.

Uliczka łagodnie się wznosi, by po kilkuset metrach doprowadzić do niewielkiego placu, pośrodku którego stoi pomnik przedstawiający siedzącą na kamieniu postać kobiety z otwartą książką na kolanach. Kobieta patrzy przed siebie, a jej rozwiane włosy układają się w opadające na plecy pukle. Nieokreślony kolor posągu odbija się teraz w błękitnych oczach przechodzącej Oli. Powietrze na owalnej przestrzeni

placyku jest szczególnie mocno nagrzone i zmusza dziewczynę do zwolnienia kroku. Ola szuka ratunku, patrząc na korony kilku drzew rosnących przed okalającymi to miejsce domami, ale drzewa zdają się drzemać w popołudniowym upale i nie odpowiadają na niemą prośbę dziewczyny.

Ola jest pokonana. Mija bramkę małego ogródka przy kawiarni i siada na wyplatanej krześle przy jednym z kilku stojących tu stolików. Kelner to wysoki chłopak o zwinnych ruchach, przepasany śnieżnobiałym fartuchem. Stawia przed Olą zamówioną colę z lodem i pływającym plasterkiem cytryny, stuka popielniczką. Przeciera jeszcze blat stolika i pochylając się, zerka z ukosa na dziewczynę. Dostrzeżga wystający zza włosów skrawek jej ucha, ozdobionego srebrną kulką. Wystudowanym krokiem wraca do lokalu i zajmuje stanowisko przy barze, skąd ma doskonały widok na Olę.

Siedząca przy stoliku sęczy swój napój z grzechoczącymi kostkami lodu, potem otwiera torebkę, wyjmując paczkę papierosów i zapala jednego. Odklada go na brzeg popielniczki i przez chwilę obserwuje szary dymek snujący się w górę, wyżej, rozplywający się gdzieś pod kolorowym parasolem ocieniającym stolik. Przymyka oczy i słyszy mowę tej części miasta: daleki stukot jadącego tramwaju, monotony szum samochodów, a bliżej – szczekanie psa, odgłos trzepanego dywanu i gwar głosów przechodzących obok. Czuje zapach pieczonego gdzieś ciasta. Chyba szarlotki. Nie otwierając oczu, Ola głęboko się zaciąga i wydmuchuje dym, unosząc nieco głowę. Biała szyja wysuwa się z kołnierzyka, napina i zaraz łagodnie wiotczeje.

W szklance zostało jeszcze trochę coli, ale Ola nie spieszy się z jej wypiciem. Jest teraz całkowicie zrelaksowana, wyciąga nogi pod stolikiem, nawet wysuwa jedną stopę z pantofla. Stopa jest mała, z wyraźnym podbiciem, paznokcie polakierowane na karminowo. Dziewczyna patrzy na placyk i w zmieniającym się popołudniowym świetle obserwuje krążących tu ludzi – wracających z pracy, spacerujących, siedzących w innych kawiarnianych ogródkach i rozmawiających, może podążających w poszukiwaniu wieczornej rozrywki. Neon niewielkiego

kina znajdującego się niemal naprzeciw kawiarni, w której siedzi Ola, już rozjarzył się błękitnym światłem. Objęci dziewczyna i chłopak znikają za kinową kotarą, oddzielającą wejście od ulicy.

Ola wstaje, znowu lekko się przeciąga, zapina żakiet, otwiera torebkę. Kładzie pieniądze na stoliku i nie oglądając się, idzie przed siebie. Nie przypuszcza, że w tej właśnie chwili siedzący w głębi kawiarni za barem mężczyzna obserwuje grę poślaków pod jej kończącą się nad kolanami spódniczką. Nawet kiedy Ola znika w odchodzącej od placu ulicy, kelner nadal wpatruje się w rozmyty w przestrzeni fragment, którym przed chwilą była dziewczyna.

4

Bogdan wyłączył odtwarzacz CD. Wnętrze pokoju oświetlone jest tylko odblaskiem latarń, czasem reflektory samochodów pozostawiają na ścianach jasne smugi. Półmrok. Przez ostatnią godzinę, leżąc na łóżku, przebywał w świecie stworzonym za sprawą muzyki, którą jeden z zapomnianych dziś zespołów nagrał trzydzieści lat temu. I rozpadł się po wydaniu jedynej płyty. Dlaczego nie zrobił kariery, Bogdan nie ma pojęcia. Leży z oczami wbitymi w sufit i słyszy jeszcze ostatnie finałowe takty utworu, myśli o tym, co czuł, podczas gdy płyta kręciła się w odtwarzaczu. Przypomina sobie.

W pokoju Bogdana drga zasłona, delikatnie wzdyma się firanka. Wieje przez lufcik, który nocą jest zawsze otwarty. Chłopak naciąga wyżej koc, przekręca się na bok, zgiętą w łokciu rękę wtyka pod głowę. Światelka i cyfry w sprzęcie hi-fi błyskają ciepłym światłem. Patrzy na nie przez chwilę, potem przenosi wzrok na duże zdjęcie dziewczyny, oprawione w ramkę i wiszące tuż nad szafką z gramofonem, wzmacniaczem i resztą niezbędnego w jego życiu ekwipunku. Niżej matowym połyskiem świecą grzbiety starych płyt analogowych.

Światłne punkty przemknęły po płaszczyźnie zdjęcia, chropowatej ścianie, zatrzymały się i zbłądły gdzieś przy podłogowej listwie.

Samochód na ulicy zakręcił z piskiem opon. Uśmiech dziewczyny łagodnie trwa w przyciemnionym pokoju, jej splecione dłonie są jeszcze jedną szarą plamą tworzącą nieruchomy nocny pejzaż. Bogdan patrzy na nią, obejmuje wzrokiem także srebrne o tej porze włosy i oczy, o których wie, że patrzą dokładnie tam, gdzie na przeciwległym ścianie wisi plakat Hendrixa.

Kiedy za oknem gasną uliczne latarnie, pokój zalewa księżycowe światło. W całej kamienicy jest cicho. Miłosne krzyki młodych małżonków zajmujących lokal nad nim dawno umilkły. Nawet koty nie kochają się już w piwnicznych zakamarkach, a ptaki o tej godzinie śpią jeszcze. Gdyby Bogdanowi chciało się teraz wstać z łóżka i podejść do okna, zobaczyłby perspektywę ulicy, kończącą się w oddali masywną bryłą dworca kolejowego. Ale nocnych składów też dziś nie odprawiano, nie ma więc z tamtej strony stukotu przetaczanych wagonów.

Jak blisko dziewczyny ze zdjęcia krąży myśli Bogdana, zupełnie tak jak dźwięki muzyki z płyty, której skończył słuchać. Jak dawno temu? Nie patrzy na zegarek, wie, że czas odpoczynku nadejdzie. Smugi białozielonego światła kładą się na poduszce, układają wzory na długich włosach chłopaka, na poskręcanej od leżenia brodzie, błędzą po szyi i karku. Ale i to światło zblednie, rozplynie się, by ustąpić chłodowi budzącego się dnia.

Jej dłonie i stopy też były zimne. Całując dziewczynę, wsuwał rękę pod koszulę, tchnęło ciepło bijące od pleców, wzdłuż kręgosłupa aż po biodra. Drugą dłoń kładł płasko między łopatkami i wyczuwał pulsowanie krwi. W uszach Bogdana drżał przyspieszony oddech, kiedy stając na jego butach, obejmowała go za szyję.

W wypełnionym ciszą i światłem księżycą pokoju Bogdan wyczuje świtu. Nie zapalając światła, sięga na półkę, wyjmując płytę z pudełka, umieszcza w wysuniętej posłusznie kieszeni i wciska klawisz „play”. Dźwięki melotronu pomogą mu w doczekaniu chwili, w której będzie mógł zasnąć.

